

Adam Ziemianin

RYCYNUS ZŁOTNIK

Rycynus kochał się w złocie, choć go wcale nie posiadał. Nie miał nawet złotej obrączki, bo był starym kawalerem. Może właśnie dlatego tak szalał za tym szlachetnym kruszcem. Nawet przypuszczalnie nie chodziło mu o bogactwo, lecz raczej o jego siłę magiczną. Złoto śniło mu się po nocach, wypełniało po brzegi jego samotność. Rycynus Złotnik, bo tak wszyscy nazywali go w miasteczku, nawet mało kto znał jego prawdziwe nazwisko, na co dzień zajmował się bardzo podłą pracą, której nikt nie chciał wykonywać. Opróżniał bowiem z fekaliów doły kloaczne. Było to jeszcze w tych czasach, gdy czynności te musiał wykonywać człowiek w sposób bardzo prymitywny, czyli posługując się jedynie wiadrami zawieszonymi na powrozie. Rycynus zamówień miał sporo, bo miescina nie miała kanalizacji, choć była nawet letniskiem.

Był samotny i pracowity. Niektórzy mówili o nim, że mu brak piątej klepki, inni twierdzili, że nie jest pomyłonym, ale tak całkiem normalnym też nie jest. Żadna kobieta nigdy się nim nie zainteresowała, bo często cuchnął, a poza tym, która chciałaby mieć za męża takiego specjalistę.

Może stąd to złoto było mu tak potrzebne. Może wierzył, że gdy go posiadzie, ludzie będą go szanować i podziwiać. Na pozór pogodził się ze swą rolą i też nie wykazywał żadnych zainteresowań kobietami, choć czasem po robocie siedząc przy dużym piwie, już umyty i zadbane, przyczesany na mokro, przesadnie skropiony wodą toaletową, wyciągał garść banknotów w stronę dziewczyn, które tylko zdrowo śmiały się z niego. Zachęcał je, aby z nim szły. To były chyba wszystkie jego radości z kobietami.

Był mały i niezgrabny, tylko ręce miał jak łopaty-sercówki, takie jakimi ładuje się węgiel. Mimo tego, gdy wołano za nim: Koński Pazur, gonił przezywających bardzo szybko, ale tylko na prostych odcinkach, bo gdy przyszło mu zmienić kierunek biegu, musiał się zatrzymać, ustawić pod właściwym kątem, po czym rozpędzać się od nowa. Męczył się przy tym szybko. Wiedzieli o tym złośliwcy w miasteczku, więc dlatego nie obawiali się, że kogoś dogoni, choć przy tym przezwisku popadał w furję i dostawał białej gorączki. Pogodził się z Rycynusem i Złotnikiem, ale tego epitetu nie mógł znieść.

Roboty Rycynusa nasilały się wczesną wiosną i późną jesienią, zresztą tylko wtedy ze względu na niższe temperatury były do wykonania. Przez resztę roku pracował dorywczo, znosił komuś węgiel do piwnicy, albo rąbał drewno na opał.

Rycynus miał zegarek. Przypadkowo od kogoś go kupił. Jak zwykle został nacięty i oszukany. Wmówiono mu bowiem, że zegarek jest złoty, a on tylko błyszczał w tym kolorze, lecz ze złotem nie miał nic wspólnego.

Nosił go więc Złotnik dumnie, aż rękaw u koszuli podwijał, żeby lepiej było widać. Zegarek ten psuł mu się niemiłosiernie. Przychodził więc do amatora-zegarmistrza Orzechowskiego i ten jakimś sposobem go uruchamiał. Nie szło o to, aby zegarek Rycynusa wskazywał dokładny czas, ważne było tylko, żeby chodził i tykał. Był on bowiem raczej elementem dekoracyjnym.

Któryś już raz przyszedł Złotnik ze swym zepsutym zegarkiem do Orzechowskiego, lecz nie zastał go w domu. Od żony dowiedział się, że mąż pracuje przy budowie domu

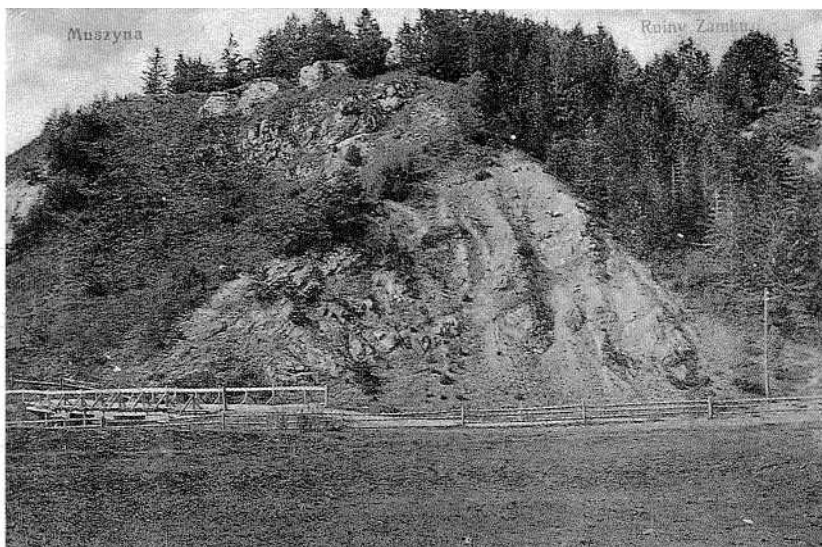
Mullera, prawnika z Bydgoszczy, który w miasteczku naszym w ten sposób lokował oszczędności zyskane na propagowaniu praworządności. Przyszedł więc Rycynus na budowę i prosił Orzechowskiego o naprawę swego zegarka. Orzechowski, który tylko z przymusu pracował przy budowie, bo mu żona nie dawała spokoju, chętnie zgodził się go naprawić pod warunkiem, że Złotnik zastąpi go na stanowisku pomocnika murarza. Rycynus zgodził się natychmiast i wtedy się zaczęło.

— Cegły! Pustaki! Wapno! — krzyczeli bez przerwy murarze, a Rycynus nosił i nosił. Po czterech godzinach przyszedł Orzechowski z naprawionym zegarkiem. Wręczył go padającemu ze zmęczenia Złotnikowi i jeszcze kazał sobie zapłacić 200 złotych. Rycynus bez targowania się wysupłał żadaną sumę i nałożył zegarek na rękę. Był szczęśliwy, bo wskazówka sekundnika przesuwiała się miarowo. Cegła i zaprawa przyniesione przez niego wystarczyły trzem murarzom na cały dzień murowania.

Ale Rycynus miał też swoje sprawy i tajemnice. Rzucił wtedy robotę i do nikogo się nie najmował. Brał natomiast łopatę i kilof i szedł na Górę Zamkową szukać złota. Były tam ruiny warownego zamku średniowiecznego, o którym krążyły różne legendy. W okolicach tych ruin szukał więc złota. Zmieniał się wtedy nie do poznania. Stawał się wyższy i jakby delikatniał, a oczy błyszczały mu nieziemsko. Czasem przez cały tydzień kopał od świtu do nocy. Raz znalazł nawet czaszkę ludzką, drugi raz kawałek miecza, czy grotu strzały. Był bardzo skrupulatny. Grzebał w ziemi długo i wnikliwie, a ślady po sobie dokładnie zasypywał. Taki to był z niego złotnik.

Po latach gdy przyjechałem do miasteczka nie było już Rycynusa Złotnika. Dowiedziałem się, że umarł. Nie była to jednak śmierć naturalna. Jedni mówili, że popełnił samobójstwo, i taka była ponoć oficjalna wersja. Inni natomiast twierdzili, iż ktoś go zamordował i upozorował samobójczą śmierć. Czyżby uwierzono, że Rycynus Złotnik trafił na złoto?

Myślę, że teraz, o ile istnieje tam taki urząd, Rycynus jest pierwszym złotnikiem na niebieskich włościach.



Pocztówka z początku wieku wydana nakładem J. Getzlera
(ze zbiorów *Almanachu Muszyny*).